

Dolny Śląsk: region gier strategicznych

Z Janem Waszkiewiczem, pierwszym marszałkiem województwa dolnośląskiego w latach 1998–2001, rozmawia Łukasz Medeksza

Łukasz Medeksza: Cofnijmy się do 1998 r. Kto wymyślił, żeby to Pan został pierwszym marszałkiem Dolnego Śląska?

Jan Waszkiewicz: Sam to wymyśliłem.

Ł.M.: Wystarczyło chcieć?

J.W.: Działanie na poziomie regionalnym przemawiało mi do wyobraźni. Uważałem, że coś wiem na ten temat. Że coś potrafię. Zwłaszcza, że od 1989 r. obserwowałem, kto przejmuje różne ważne funkcje. Były to czasem osoby, które znam i które niewiele górowały nade mną intelektualnie. Zrozumiałem, że nie święci garnki lepia.

Ł.M.: Irytowały Pana te ich awanse?

J.W.: Aż tak to nie.

Ł.M.: W końcu powiedział Pan sobie: „A teraz czas na mnie”.

J.W.: Ująłbym to delikatnie. Po prostu postanowiłem wziąć udział w grze o województwo. Problem polegał na tym, że wcześniej nie byłem postacią typowo partyjną. Wchodziłem w różne działania polityczne, partyjne, ale nigdy w ich główny nurt. Mało mnie to pasjonowało.

Ł.M.: W 1998 r. to się zmieniło. Wszedł Pan w sam środek politycznej gry.

J.W.: Po raz pierwszy i jedyny zacząłem budować swoją karierę polityczną, żeby zyskać wpływ na rzeczywistość.

OPEN ACCESS

Citation: Medeksza Ł., Dolny Śląsk: region gier strategicznych, „Miasto. Pamięć i Przyszłość”, 3/1 (2018).

<https://doi.org/10.26774/mpp.64>

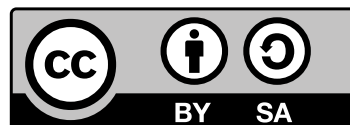
Editor: Katarzyna Uczkiewicz

Received: November, 2018

Accepted: December, 2018

Published: December, 2018

Copyright: © Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”
This is an open access article distributed under the terms of the Creative Commons Attribution-ShareAlike Licence, which permits unrestricted use, distribution, and reproduction in any medium, provided the original author and source are credited, with indications if any changes are made. All derivative works must be licensed under the same licence.



Ł.M.: *To był ciekawy czas. Był Pan wtedy wicedyrektorem Biura Rozwoju Wrocławia (BRW). Powstało raptem trzy lata wcześniej, było strategicznym i planistycznym zapleczem władz miasta.*
J.W.: Nawet je współtworzyłem, razem z m.in. Grześkiem Romanem [Grzegorz Roman, ówczesny szef Biura Rozwoju Wrocławia – ŁM].

Ł.M.: *To właśnie w BRW powstała pierwsza strategia Wrocławia. Została przyjęta w tym samym 1998 r. Był Pan jej współautorem. Pojawiał się w niej wątek regionalny.*

J.W.: Tak. W strategii podkreślaliśmy, że Wrocław jest silnie związany z Dolnym Śląskiem. To nie jest wcale oczywisty pogląd, nawet dzisiaj. W każdym razie w tamtych latach, także za sprawą BRW i strategii, sprawdziłem w praktyce, że mam coś do powiedzenia. Nie tylko na temat Wrocławia, ale i Dolnego Śląska. I że jest to przez innych przyjmowane z uwagą. No i właśnie wtedy, w 1998 r., zaczęło tworzyć się województwo dolnośląskie.

Ł.M.: *Żeby jednak zostać marszałkiem, potrzebne było także silne wsparcie polityczne. Od 1995 r. działał Pan w Ruchu Stu...*

J.W.: ...który, jak sama nazwa wskazuje, potężny nie był (śmiech). Ale wszedł w skład AWS, tam zaś Sławek Bielecki [czyli Czesław Bielecki, szef Ruchu Stu – ŁM] odgrywał dość istotną rolę. Był w Warszawie. Miał ogromną siłę przebicia. Gdy w 1998 r. zaczęły tworzyć się nowe województwa, ubiegałem się najpierw o stanowisko pierwszego wojewody dolnośląskiego.

Ł.M.: *Nie udało się – pierwszym wojewodą dolnośląskim został ostatni wojewoda wrocławski, czyli Witold Krochmal. Dlaczego?*

J.W.: Bo tak zdecydował lokalny AWS. Ale w tym samym 1998 r. wystartowałem z list AWS w pierwszych wyborach do Sejmiku Województwa Dolnośląskiego. I już na tym etapie AWS zapowiadał, że jeśli wygra wybory, to właśnie ja będę pierwszym marszałkiem. Musiałem oczywiście przeprowadzić wcześniej serię rozmów z różnymi ważniejszymi ode mnie osobami. W tym z posłem Tomaszem Wójcikiem z AWS [do 1997 r. szefem dolnośląskiej Solidarności – ŁM]. Udało mi się ich przekonać do mojej kandydatury.

Ł.M.: *AWS wybory wygrało, więc chyba bez problemu został Pan marszałkiem, prawda?*

J.W.: Oj, nie. Po wyborach były jeszcze długie rozmowy koalicyjne z Unią Wolności. Mieliśmy kłopot z dogadaniem się. Iskrzyło. Nie było dobrze. Z naszej strony rozmowy prowadził Janusz Łaznowski, szef dolnośląskiej Solidarności. Mówił: „Nie wyobrażamy

sobie innego wyjścia, niż koalicja”. Na to UW odpowiadała: „A my sobie wyobrażamy”. To była tego typu rozmowa. W końcu wynegocjowaliśmy równowagę. Jedna strona miała dostać marszałka i jedno miejsce w zarządzie. Druga – trzy miejsca w zarządzie. No to pojawiło się pytanie: co weźmie AWS, a co UW?

Ł.M.: Czyli pierwszym marszałkiem Dolnego Śląska mógł zostać ktoś z UW?

J.W.: Byłem w tym zespole negocjacyjnym z ramienia AWS. Przekonywałem, że to my powinniśmy wziąć fotel marszałka, choć nie było w tej sprawie jednomyślności po naszej stronie. Stoczyłem o to walkę. Założyłem też sobie, że skoro to ja mam być marszałkiem z AWS, to dobrze by było, żeby wśród trzech członków zarządu z UW znalazł się ktoś, do kogo mogę mieć zaufanie.

Ł.M.: Taki „swój unita”.

J.W.: Udało się. Tą osobą został Grzesiek Roman. Znałem go, ceniłem jego kompetencje, miałem do niego zaufanie. Ale żeby przeforsować tę koncepcję zarządu ze mną jako marszałkiem, musiałem walczyć, wręcz stawiać sprawy na ostrzu noża. Uważałem jednak, że mój dotychczasowy dorobek upoważnia mnie, by taką walkę stoczyć. Że nie jestem o wiele gorszy od potencjalnych kontrkandydatów.

Ł.M.: Nie było łatwo.

J.W.: Ani przez chwilę nie miałem łatwo. Miałem kłopoty, zanim zostałem marszałkiem. Miałem je, gdy już nim byłem. Nawet mój wybór na marszałka był podważany. Potem przez długi czas miałem w sejmiku przewagę tylko jednego głosu.

Ł.M.: Kim byli Pana kontrkandydaci na marszałka w 1998 r.? Nie pamiętam, żeby w ramach koalicji AWS–UW ktoś jeszcze zgłaszał takie ambicje.

J.W.: Zawsze są jacyś kontrkandydaci, choć nie zawsze się ujawniają. Przypuszczam, że gdyby pękła koalicja, albo ustalilibyśmy, że to UW bierze marszałka, a AWS trzy miejsca w zarządzie, to marszałkiem już wtedy zostałby Emilian Stańczyszyn [jeden z ówczesnych liderów UW, w 1998 r. został ostatecznie przewodniczącym sejmiku – ŁM]. Leszek Balcerowicz go kochał. W wyborach gminnych u siebie w Polkowicach Stańczyszyn dostał najlepszy wynik w kraju. Awansował bardzo wysoko w strukturach UW. Zatem prawie na pewno to właśnie on mógłby zostać marszałkiem w 1998 r.

Ł.M.: I tak też się stało, tyle że trzy lata później. W 2001 r. koalicja AWS–UW rozpadła się. Pan został odwołany. Nowym marszałkiem został Emilian Stańczyszyn – tym razem w ramach koalicji UW–SLD.

J.W.: Powiem szczerze: ani wówczas, ani teraz nie miałem i nie mam kompleksów w porównaniu z nim.

Ł.M.: Z Pana odwołaniem w 2001 r. wiąże się słynna anegdota. Miał Pan wówczas powiedzieć, że od tej pory żadnemu marszałkowi Dolnego Śląska nie uda się rządzić przez pełną kadencję. Słowa te stały się znane jako „klątwa Waszkiewicza”. Przez kilka kolejnych kadencji sejmiku ta klątwa sprawdzała się.

J.W.: Protestuję. Żadnej klątwy nie rzucałem. Wymyślił to jakiś wesołek.

Ł.M.: Klątwę udało się przełamać dopiero w ostatnich latach. Cezary Przybylski jest pierwszym marszałkiem, który rządził przez całą kadencję. Zresztą rządzi dalej, po wyborach z 2018 r.

J.W.: Przez długie lata sytuacja polityczna w sejmiku była po prostu mało stabilna. Gdy byłem marszałkiem, telepałem się na jednym głosie przewagi, a opozycja była silnie zmotywowana, by dokonać przewrotu. Podobnie było w kolejnych kadencjach sejmiku.

Ł.M.: Jednym z radnych AWS w kadencji 1998–2002 był Mateusz Morawiecki. Był istotną postacią w tej koalicyjnej drużynie, czy zwykłym, szeregowym radnym?

J.W.: Też był w Ruchu Stu. W 1998 r. przeprowadził najlepszą z nas wszystkich kampanię wyborczą. Wykonał wielką robotę. Jako jedyny z Ruchu Stu chodził od drzwi do drzwi – i to w dużym, trudnym okręgu podwrocławskim, gdzie dominowała rozproszona zabudowa. W wyborach uzyskał bardzo dobry wynik. Natomiast już w sejmiku, na samym początku kadencji, starliśmy się. Trzeba było obsadzić funkcję skarbnika województwa. Mateusz miał swojego kandydata. Przekonał nawet do niego nasz klub, ale ja nie chciałem zgodzić się na tego człowieka. Od początku stawiałem na Elę Berezowską i to ona została skarbnikiem. Jest nim do dziś. Wydaje mi się, że dobrze zrobiłem, bo Ela Berezowska pracowała – i nadal pracuje – dla wszystkich kolejnych zarządów województwa. Jest jedną z najbardziej doświadczonych i najlepiej ocenianych skarbniczek w kraju. Później zresztą Mateusz przyznał mi rację.

Ł.M.: Kto był jego kandydatem na skarbnika?

J.W.: Nie będę przytaczał nazwiska. W każdym razie nikt znany. Prawdopodobnie kiedyś otarł się o Solidarność Walczącą, ale gdy pojawiła się jego kandydatura, zaczęły wychodzić różne niemiłe rzeczy z jego życiorysu. Okazało się, że w stanie wojennym był skierowany na aplikację prokuratorską. Zniknął, gdy nie udało mu się zostać skarbnikiem województwa. Nigdy później nie spotkałem się z jego nazwiskiem.

Ł.M.: Czyli Pana relacje z Mateuszem Morawieckim nie były w tamtej kadencji najlepsze?

J.W.: Spór o skarbnika spowodował, że był między nami dystans. Ale też ani Mateusz nie pchał się do przodu, ani ja nie miałem do niego żadnych spraw. Dziś widzę, jak kiepskim byłem politykiem. Moja współpraca z klubem AWS była żadna. Nie wzmacniałem swojej pozycji politycznej. Nie dbałem o to, by pozostać marszałkiem na dłużej. Interesowała mnie tylko ta pierwsza kadencja i region. Powinienem być to inaczej wówczas rozgrywać. A Mateusz? Nie był wśród tych najbardziej zauważalnych radnych. Ale był bardzo pilny. Zawsze świetnie przygotowany. Zadawał pytania. Jeśli wtrącał jakieś uwagi, to były one bardzo trafne. Ale też nie agitował za niczym – to jest inny typ osobowości. Muszę uderzyć się w piersi: nie poznałem się wtedy na nim. Bardzo trudno poznać się na kimś, kogo się zna, odkąd był dzieckiem. A przecież tyle właśnie znam Mateusza. Trudno nawet traktować kogoś takiego całkiem poważnie. Gdy potem trafił do Banku Zachodniego, a następnie został wicepremierem i wreszcie premierem, to miałem poczucie, że w przeszłości można było lepiej wykorzystać jego potencjał dla Dolnego Śląska. Nie zrobiłem tego. Mój błąd.

Ł.M.: Budował Pan urząd marszałkowski od zera.

J.W.: Może nie od zera, a od kilku osób. Dostałem je w spadku po sejmiku województwa wrocławskiego [takie sejmiki działały przed reformą wojewódzką z 1998 r., miały znacznie mniejsze uprawnienia niż te po reformie – ŁM]. Byli to pracownicy biura szefa prezydium tamtego sejmiku, Leona Kieresa. Przejąłem też podobne biura po sejmikach pozostałych trzech województw, które w 1998 r. weszły w skład Dolnego Śląska. Następnie przeszły do mnie kawałki administracji wojewody, wraz z kompetencjami. I to wszystko razem stało się załącznikiem urzędu marszałkowskiego. Ale trzeba było ten urząd poukładać. Potrzebny był jakiś schemat organizacyjny. Byłem głęboko przerażony tym wyzwaniem. Miałem kiepskie doświadczenia praktyczne w tym zakresie. Zdawałem sobie sprawę z moich ograniczeń. Poszedłem zatem do mojego znajomego – Bogdana Cybulskiego [wieloletni

szeft Regionalnej Izby Obrachunkowej we Wrocławiu – ŁM]. Wspólnie wymyśliliśmy schemat podziału urzędu na departamenty, ale żeby ten plan wdrożyć, potrzebny był jeszcze dobry organizator. I w tej roli przydał się Grzesiek Roman, który przecież tworzył od zera Biuro Rozwoju Wrocławia. Miał za sobą kilkuletnią praktykę administracyjną na różnych szczeblach i w różnych sytuacjach. Świetnie znał realia samorządowe. Ostatecznie, w dużej mierze to właśnie on tworzył nasz urząd marszałkowski.

Ł.M.: Czyli Bogdan Cybulski pomógł wymyślić strukturę, a budował ją Grzegorz Roman?

J.W.: Tak, ale o obsadzie kadrowej decydowałem głównie ja. Choć w ramach podziału koalicyjnego niektóre wydziały w ogóle wypadły poza moje kompetencje. Poszczegól- ni wicemarszałkowie i członkowie zarządu – Andrzej Kosiór, Krzysztof Prędkie, Artur Zieliński – mieli swoje oddzielne pionki. O spójność miał dbać Grzesiek. Ja zostawiłem sobie kulturę, sprawy zagraniczne – tego typu historie. Stworzyliśmy dobry pionki kontroli, którym kierował Janek Pawłowski, przeciwiczony przez UOP [Jan Pawłowski był szefem wrocławskiej delegatury UOP w pierwszej połowie lat 90. XX w.; wcześniej, w podziemiu, tworzył kontrwywiad Solidarności Walczącej – ŁM]. Bardzo dobrze go prowadził. Udało się zatem zbudować dobry urząd. Wciąż spotykam ludzi, których wtedy przyjmowaliśmy do pracy. Gawędzimy sobie. Nie muszę przed nimi uciekać, ani się wstydić. Wręcz przeciwnie: musiałem do niedawna odpowiadać na pytania typu „Kiedy pan wróci?”.

Ł.M.: I nie były to pytania zadawane z obawą?

J.W.: Oj nie. Powiedziałbym nawet, że z sympatią, nostalgią. Z poczuciem, że fajnie było w tamtym początkowym, bohaterskim okresie.

Ł.M.: Wtedy też powstała pierwsza strategia Dolnego Śląska.

J.W.: Pisał ją specjalnie powołany w urzędzie zespół. Ściągnąłem do niego także Romka Galara. Jednak strategia nigdy nie została skończona.

Ł.M.: Jak to? Przecież sejmik oficjalnie ją przyjął.

J.W.: Tak, ale nie została napisana zgodnie z moimi założeniami. Wyobrażałem ją sobie na podobieństwo pierwszej strategii Wrocławia z 1998 r. Chciałem, by jej częścią był zestaw konkretnych planów czy programów, które będziemy realizować. Każdy taki program miał być wypełniony własną listą zadań. Zakładałem przy tym, że powstanie tabela, która

pokaże związki między tymi wszystkimi programami i zadaniami a obszarami i celami, jakie strategia stawia samorządowi województwa. Mijał czas, a ta część strategii jakoś nie mogła powstać. W końcu musiałem uciąć te prace. W efekcie lista programów w ogóle nie powstała. Od zespołu piszącego strategię dostałem za to tabelkę, która próbowała przypisywać różne zadania do celów, ale w inny sposób, niż zakładałem. Tych zadań zrobiło się bardzo dużo. Znacznie więcej, niż byliśmy w stanie zrealizować. Tak właśnie narodziła się koncepcja „gry o region” (śmiej).

Ł.M.: Zakładała ona, że nie wszystkie zadania są przypisane bezpośrednio samorządowi województwa i może je realizować każdy chętny.

J.W.: Każdy może wybrać sobie z tego „jadłospisu”, co chce. Ale jak konkretnie ma to działać? Załóżmy, że do jakiegoś tematu zgłosi się pięć chętnych podmiotów. No to trzeba nadać im jakąś strukturę. Gdy już ona zacznie działać, może zgłoszą się kolejni chętni. Trzeba zastanowić się, skąd wziąć środki, opracować program działania.

Ł.M.: Jaka wówczas jest rola urzędu marszałkowskiego?

J.W.: Pełni rolę służebną. Pomaga w budowie takich porozumień i w poszukiwaniu środków. Ale powiem szczerze: ta koncepcja była aktem rozpacz.

Ł.M.: Czyli „gra o region” nie była zainspirowana jakąś literaturą czy wcześniejszą praktyką?

J.W.: Inspiracją do nazwy była książka Czesława Bieleckiego „Gra w miasto”. On mi tę książkę podarował i właśnie wtedy ją przeczytałem. Co prawda, u niego ta gra nieco inaczej wygląda niż u mnie, ale pewne elementy są wspólne. W każdym razie musiałem tę „grę o region” przedstawić jako koncepcję ideową, nie zaś akt rozpacz (śmiej). W rezultacie sam się do niej przekonałem i byłem skłonny później przypuszczać, że wpadłem na genialny pomysł.

Ł.M.: Sejmik przyjął strategię bez problemów?

J.W.: Oj, z problemami. A dokładnie z jednym problemem, którym był załącznik nr 1.

Ł.M.: Co w nim było? Lista projektów?

J.W.: Nie tyle lista projektów, co koncert życzeń. Każdy radny mógł sobie tam wpisać, co tylko chciał i chwalić się, że ma coś swojego w strategii. To były te cenne przedsięwzięcia typu „naprawa drogi w gminie X”. Nigdy w życiu nie przeczytałem tego załącznika. Nie miałem na to ochoty. Zresztą, niedługo później zostałem odwołany. Sama strategia też

została zmieniona. Pierwszą wersję pisał Romek Galar. Była drapieżna. Potem została skorygowana, napisana bardziej drętowym językiem.

Ł.M.: Po sejmikowemu.

J.W.: Tak, właśnie. Ale mój schemat „gry o region” ocalał, bo nie bardzo było go czym zastąpić. Tabelka w zasadzie też ocalała, choć radni trochę po niej pojeździli – coś dopisali, coś wykreślili. Ale bardziej ich zajął ten załącznik nr 1.

Ł.M.: Potem został Pan odwołany...

J.W.: ...a nowa ekipa zaczęła pisać nową strategię (śmiech).

Ł.M.: Jakie są największe sukcesy, a jakie największe porażki samorządu województwa dolnośląskiego w tym pierwszym dwudziestoleciu jego istnienia?

J.W.: Sukcesem jest to, że udało się jednak to województwo skleić. Nie ma tendencji odśrodkowych.

Ł.M.: Trochę są. Porozumienie Sudety 2030 można przecież odczytywać jako chęć secesji południa regionu.

J.W.: Ale nikt nie kwestionuje istnienia Dolnego Śląska jako województwa, a przecież początkowo, dwie dekady temu, były takie wątpliwości. Świadomość istnienia problemów subregionalnych i próby tworzenia własnych wizji na tym poziomie to jeszcze nie jest chęć rozbitcia regionu. Jeśli Sudety, Podesudacie mają własne pomysły – to jest to duży plus. Mamy przecież na Dolnym Śląsku kilka obszarów o wyraźnej specyfice. Nie tylko południe, ale też np. aglomerację wrocławską czy układ legnicko-głogowski. Ja zaś ciągle dopominam się o Dolinę Odry. W tej kwestii nasze myślenie niestety cofnęło się w stosunku do tego, co było dwadzieścia lat temu. Ostatnio państwo zaczęło artykułować różne oczekiwania i pomysły dotyczące wykorzystania Odry. To był dobry moment, by samorząd województwa szybko i zdecydowanie wszedł w ten temat z własnymi, gotowymi koncepcjami. Nic takiego się nie stało. I to jest porażka.

Ł.M.: Odra już dawno została przejęta przez państwo jako temat. Tak było także w czasach programu dla Odry 2006.

J.W.: Ale to nie zwalnia województwa od samodzielnego myślenia o Odrze.

Ł.M.: Samorząd województwa nie musi ograniczać się do tematów, które narzucają mu ustawy, prawda?

J.W.: Oczywiście, że nie. Powinien myśleć o województwie jako całości. O jego rzeczywistych problemach, a nie tylko o tych, które znajdzie w ustawach. Nie ma znaczenia czy dany temat leży w naszych formalnych kompetencjach, czy nie. Jeśli leży – zajmujemy się nim sami. Jeśli nie leży – to możemy lobbować, wpływać, tworzyć koalicje. Ograniczenia dotyczą wyłącznie kompetencji formalnych. Nic nie ogranicza kompetencji intelektualnych i emocjonalnych. Za sukces uważam jeszcze poukładanie relacji z Czechami i Niemcami. Gdy byłem marszałkiem, ta tematyka jeszcze raczkowała. Obecnie dobrze się rozwija. Choć można by na tym polu działać śmiało, np. bardziej współpracować z Czechami w dziedzinie połączeń drogowych na Ziemi Kłodzkiej i w jej otoczeniu. Pewnym sukcesem jest też to, że nie wydarzyła się katastrofa w służbie zdrowia. Gdy byłem marszałkiem, to o taką właśnie katastrofę stale się ocierałem. Sytuacja była momentami dramatyczna. Również w kulturze zastałem spore problemy. Niektóre tematy były mocno zagrożone, a jednak przez te dwadzieścia lat żadna z wojewódzkich instytucji kultury nie upadła. Większość z nich podniosła swoją rangę i rozpoznawalność.

Ł.M.: Warto coś zmieniać w ustroju samorządowym?

J.W.: Jeśli już, to tylko kosmetycznie. Zamiast pytać, jak powinno być, nauczmy się szanować to, co mamy. Można np. zastanawiać się, czy powiaty mają sens, czy nie, i czy ich kompetencje nie są zbyt wiotkie. Ale przecież ludzie przyzwyczaili się do nich. Powiaty pełnią rolę nie tylko administracyjną, ale też przyczyniają się do organizacji życia na pewnym terenie. Ukształtowały się jakieś powiatowe elity itd. Można ewentualnie pomyśleć o przesuwaniu kompetencji między różnymi szczeblami administracji. Można też robić różne eksperymenty – tak jak Lubin, który praktycznie wchłonął swój powiat. Ale takie zmiany powinny być ewolucyjne i wprowadzane tylko wtedy, gdy dojrzejże do tego sytuacja i jest na nie zgoda społeczna.

Ł.M.: Czy samorządowi województwa czegoś ustrojowo brakuje?

J.W.: Są pewne mankamenty. Z Francji przejęliśmy model, w którym na poziomie regionalnym działa zarówno administracja państwowa, jak i samorządowa. Jest zatem wojewoda i marszałek. Inaczej niż w Niemczech, Austrii czy Hiszpanii, gdzie autonomiczne regiony mają po prostu własne władze.

Ł.M.: Ale to są państwa federalne. My mamy inny ustrój. Nie jesteśmy państwem federalnym.

J.W.: I trzeba się z tym pogodzić. Oczywiście punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Jako marszałek byłem znacznie żywiej zainteresowany wzrostem kompetencji samorządu województwa. Denerwowała mnie obecność wojewody, choć był nim przemiły Witek Krochmal, który nie ingerował nadmiernie w to, co robiłem. Wiele zależy od sytuacji politycznej, od atmosfery. Administracje rządowa i samorządowa mogą wojować ze sobą lub nie.

Ł.M.: Co można poprawić?

J.W.: Skoro wybraliśmy system francuski, to bądźmy konsekwentni. Tam prefekci departamentów – a więc administracja państwowa – tworzą osobny korpus. To wysoko kwalifikowani urzędnicy, niezwiązani z lokalnymi układami. Są do dyspozycji państwa, niezależnie od tego, jaka siła polityczna nim rządzi. Obejmują prefektury przeważnie w departamentach, z których nie pochodzą. Są przerzucani z jednego departamentu do drugiego. Po co? Bo prefekt ma reprezentować państwo, rację stanu, a nie jakiś lokalny układ.

Ł.M.: U nas jest inaczej.

J.W.: Wojewodami zostają osoby z danego terenu. To w dodatku polityczni nominaci. Są zatem jednocześnie reprezentantami państwa oraz grup, które ich wysunęły. Tacy wojewodowie są słabi. Lokalne siły powinien reprezentować samorząd. Wojewodowie powinni reprezentować wyłącznie rację stanu.

Ł.M.: A może jednak lepszy byłby model federalny? Warto go wprowadzić w Polsce?

J.W.: Gdy patrzę na to chłodnym okiem, to czasem mam wrażenie, że warto. Państwa federalne chyba radzą sobie lepiej pod względem różnych parametrów rozwojowych. Wystarczy spojrzeć na USA czy Niemcy. Choć z drugiej strony mamy przykład unitarnej Francji, która też sobie dobrze radzi, więc ten temat nie jest taki jednoznaczny. Ustrój federalny w większym stopniu wyzwala siły na poziomie regionów. Większy zakres kompetencji pozwala realizować większy zakres aspiracji. Ale taki ustrój ma też swoje słabe strony. Znamienny jest przypadek Katalonii. Jej autonomia miała zahamować separatyzm, a stało się odwrotnie – dodatkowo go rozbudziła. Podobnie jest w Szkocji. Jeśli pojawiają się jakieś silne, decentralistyczne tendencje rozpadowe, to autonomia może je wzmacniać. Stąd obawy przed wprowadzeniem takiego ustroju w Polsce. Wiele

zależy od kultury. Niemcy nie mają problemów z autonomią regionów, bo szacunek dla władzy, dla państwa jest tam bardzo duży. Bawarczycy mogą sobie pomarudzić przy piwie, że fajnie byłoby mieć własne państwo i szkoda, że nie oddzielili się w 1918 r., ale na tym temat się kończy. Bo od takiego narzekania znacznie silniejszy jest szacunek dla decyzji podejmowanych na szczeblu centralnym. Również w Stanach Zjednoczonych amerykańskość jest silniejsza od stanowości. A czy obawy przed wzmocnieniem regionów w Polsce są zasadne? Może nie całkiem, ale chyba warto dmuchać na zimne. Autonomiczne regiony zwiększają możliwości prowadzenia politycznej gry przez czynniki zewnętrzne. Przerabiała to I Rzeczpospolita, więc jest się czego obawiać.

Ł.M.: Czy warto wybierać marszałków w wyborach bezpośrednich?

J.W.: Takie wybory bardzo wzmacniają dany poziom władz. Czasem nadmiernie. Pozycja prezydenta Polski jest znacznie większa, niż kompetencje, które on ma. Bezpośrednie wybory marszałków stworzyłyby grupę kilkunastu osób o bardzo silnej pozycji w państwie – zwłaszcza, jeśli dodatkowo byłiby to ludzie o wysokich kwalifikacjach intelektualnych i politycznych. Znacząca jest już pozycja prezydentów największych miast. Są to osoby znane z imienia i nazwiska. Z ich opinią trzeba się liczyć, a ich działania obserwować i analizować. Bezpośrednie wybory bardzo wzmocniłyby marszałków, nawet jeśli nie wzrosłyby przy tym kompetencje samorządu województwa. Byłby to krok w stronę autonomii regionów, ustroju federalnego, nadania województwom większej świadomości. Ale powtórzę: nie ruszajmy ustroju. Szanujmy ten, który mamy.

Jan Waszkiewicz – matematyk. W latach 1998–2001 pierwszy marszałek województwa dolnośląskiego. W latach 1995–1998 wicedyrektor Biura Rozwoju Wrocławia. Współautor pierwszych strategii Dolnego Śląska i Wrocławia. Współtwórca koncepcji strategii zorientowanych na wartości. Przez wiele lat związany zawodowo z Politechniką Wrocławską, m.in. w latach 70. i 80. adiunkt w Ośrodku Badań Progностycznych tej uczelni. Po 2001 r. – profesor w Instytucie Organizacji i Zarządzania PWr. W czasach PRL działacz opozycji antykomunistycznej. Publicysta, działacz KOR, członek władz „Solidarności”, działacz Solidarności Walczącej. Autor m.in. książek „Od komunikacji do wspólnoty” oraz „Jak Polak z Polakiem? Szkice o kulturze negocjowania”.